



Myślę, że dałem ludziom odwagę, aby rozwijać terapię genową

z Profesorem WACŁAWEM SZYBALSKIM rozmawia ANDRZEJ M. KOBOS
(fragmenty)

ANDRZEJ M. KOBOS – *W 1945 roku rozpoczął Pan w Gdańsku pracę naukową...*

WACŁAW SZYBALSKI – Mieszkalem wtedy w Sopocie. Moja pierwsza praca to bycie naczelnikiem wydziału przemysłu spożywczego w urzędzie wojewódzkim, najpierw w Sopocie, a potem w Gdańsku. W ten sposób miałem papiery i możliwość korzystania ze stołówki.

Ale cały czas czyhałem, kiedy będę mógł przejść na Politechnikę Gdańską. Zachodziłem tam, gdy jeszcze była zajęta przez Sowietów. Trzymali tam konie, strzelali do butelek, było tam wręcz niebezpieczne. Aż któregoś dnia zobaczyłem, że już ich nie było – pusto. Odtąd regularnie tam chodziłem. Pewnego dnia spotkałem starszego pana, który akurat wchodził do budynku. Zaczęliśmy rozmawiać. Był to profesor Włodzimierz Wawryk. Powiedział do mnie: – „Ja zostałem mianowany dziekanem Wydziału Chemicznego”. Odpowiedziałem mu – „Świetnie się składa, bo ja chcę być tam profesorem”. – „Poważnie? Właśnie potrzebujemy takiego”. Nawet nie żądał mojego dyplomu. Po krótkiej rozmowie rektor Politechniki, profesor Stanisław Łukasiewicz, zresztą także ze Lwowa, wystawił mi nominację na kierownika Zakładu Biotechnologii. Ta dziedzina bardzo mnie interesowała, bo w niej wyspecjalizowałem się u profesora Alfreda Joszta na Politechnice we Lwowie. Tak zostałem zaangażowany na Politechnikę Gdańską, dostałem zakład – wszystko trwało może półtorej godziny.

AMK – *Z Gdańska jeździł Pan do Kopenhagi... Rozumiem, że ówczesny ambasador Polski Ludowej w Danii Stanisław Kelles-Krauz podbił Panu polski paszport pieczęcią wielokrotnego wjazdu. A posteriori wygląda to na akt Anioła Stróża...*

WS – Kelles-Krauz, przedwojenny socjalista, nie był moim aniołem stróżem. To było bardziej skomplikowane, jak zresztą wszystko.

Pierwszy raz do Kopenhagi pojechałem jako starszy asystent, nie miałem jeszcze nawet tytułu doktora. Wcześniej, w styczniu 1946, więc ledwie po wojnie, przyjechał z Danii profesor Stefan Rozental, od przed wojny sekretarz naukowy Nielsa Bohra. Fizyk, idealista, patriota polsko-żydowski z Łodzi, naprawdę wspaniały człowiek i Polak. Razem z profesorem Nielsem Bohrem i jego bratem, Haraldem Bohrem, zdecydowali się zorganizować przyjazd do Kopenhagi na trzy miesiące prawie 250 studentów chemii z Gdańska, Łodzi i Warszawy oraz ich profesorów.

Takie było wtedy zamieszanie, że polskie władze po prostu wstydziły się powiedzieć „nie”, gdy noblista – i to Niels Bohr – zapraszał. Tak więc latem 1946 dostałem paszport, do którego czerwoną wstążką była przyczepiona lista studentów, którymi miałem się opiekować. W Polsce wtedy jeszcze nie było pełnego stalinizmu. Ówczesne władze podjęły ryzyko, zakładając, że może wrócę i ja, i inni też. Bardzo wielu wróciło, choć niektórzy zostali wtedy na Zachodzie.

AMK – *Widać, że Niels Bohr popierał nie tylko fizykę, ale i chemię...*

WS – Popierał. Bardziej zajmował się naszym przyjazdem jego brat Harald, matematyk. Obaj po wojnie chcieli pomóc Polsce. Orientowali się, że zostaliśmy oddani na łaskę Sowietów. Ja później dużo rozmawiałem z Nielsem Bohrem, bo pracowałem w Kopenhadze i z nim się spotykałem.

Byliśmy wtedy w Kopenhadze przez trzy miesiące. Po sześciu latach wojny, w ciągu jednej nocy przenieśliśmy się do innej rzeczywistości. To było jak w bajce, szczególnie oświetlone, eleganckie sklepy, jak przed wojną we Lwowie. Kopenhaga jest śliczna. Od razu stosunki z Duńczykami ułożyły się bardzo dobrze. Poznałem Hakona Norda i Inge Prange, którzy opiekowali się nami. ►

► Hakon Nord zakochał się w jednej z gdańskich studentek. Zapytał mnie: – „Wacław, co ja mam zrobić, nie mogę się z nią rozstać”. Odpowiedziałem mu: – „To bardzo proste – zrobimy wymianę. Ty pojedziesz do Polski, przejmiesz mój zakład i będziesz mieszkał z moją matką, a ja przyjadę tu i będę mieszkał z Åase, twoją żoną”. I tak się stało. W tym właśnie pomógł nam Kelles-Krauz, do którego poszliśmy z prośbą o umożliwienie tej wymiany. Gdy Kelles-Krauz zobaczył moje nazwisko, wykrzyknął: – „Pan był moim pacjentem, gdy był pan dzieckiem”. Nie wiedziałem nawet o tym, ale rzeczywiście, gdy któregoś lata byłem na wakacjach u stryja w Końskim, to Kelles-Krauz na coś mnie leczył. Zbieg okoliczności, ale dobry. I dzięki niemu wielokrotna wiza została wbita do mojego paszportu.



fot. Andrzej Kobos

AMK – *To w Kopenhadze zaczął się Pan zajmować mikroorganizmami?*

WS – Prace z drożdżami i bakteriami zacząłem na Politechnice Gdańskiej, w moim Zakładzie Biotechnologii. Gdy pojechałem do Kopenhagi, to już się na tym znałem. Ponieważ wymieniłem się z Hakonem Nordem, więc najpierw musiałem zająć się chemią nieorganiczną. Wróciłem do Gdańska i znowu załatwiłem wyjazd do Kopenhagi. Miałem w Kopenhadze w sumie bodaj pięć posad. Od godziny 8 rano do 2 w nocy biegałem od laboratorium do laboratorium, aby jak najwięcej skorzystać. W 1949 roku obroniłem w Gdańsku doktorat. Moim promotorem był profesor Ernest Sym, sławny polski chemik.

AMK – *Już będąc na dobre w Kopenhadze, zapewne nawiązał Pan kontakty w Stanach Zjednoczonych...*

WS – Tak, przez Kopenhagę miałem kontakty z Cold Spring Harbor Laboratory (CSHL) i z Yale University.

Wyjeżdżałem do Kopenhagi kilkakrotnie z Gdańska. Gdy zdecydowałem się, że nie wracam do Polski, byłem u profesora Øjvinda Winge w Carlsberg Laboratory w Kopenhadze. Akurat wtedy Rokossowski został marszałkiem Polski. Domyślałem się, że następnym krokiem będzie „prośba” Polski, aby włączyli nas do Związku Sowieckiego, a nie chciałem już więcej być w stalinowskim Związku Sowieckim.

Zapytałem profesora Winge, czy radzi mi przenieść się do Stanów Zjednoczonych. Odpowiedział, że ma tam sze-

reg przyjaciół, szczególnie dwóch młodszych: Edwarda Lawrie Tatum w Yale University i Francisa J. Ryana w Columbia University; i poradził mi, abym do nich napisał, a on mnie im poleci. A także do nieco starszego Milislava Demereca, dyrektora Cold Spring Harbor Laboratory, 40 km od New York City, na Long Island. Napisałem do nich wszystkich. Ryan nie miał pieniędzy, a Tatum właśnie przenosił się do Stanford (tam dostał Nagrodę Nobla w 1958 roku). Natomiast Demerec zaprosił mnie na staż w Cold Spring Harbor Laboratory.

AMK – *I pojechał Pan...*

WS – Na początku 1950 roku pojechałem do Stanów Zjednoczonych na dwa zaproszenia: jedno było z Cold Spring Harbor Laboratory (CSHL), a drugie z New York University. Dwa – dla pewności. W Kopenhadze udało mi się dostać dokument bezpieczeństwa, tzw. paszport nansenowski. Amerykańską wizę imigracyjną otrzymałem w przeciągu tygodnia, co było pewnym rekordem. Odpłynąłem z Southampton w Anglii, mając ze sobą \$50, ale płynąłem pierwszą klasą, z krzesłem pokładowym za \$15, więc zostało mi \$35. W Cold Spring Harbor Laboratory poznałem zaraz dyrektora laboratorium, profesora Demereca, który powiedział mi, że jest problem, bo miałem przejąć stypendium po dr. Hsie, ale ten nie dostał posady, o którą się starał, i dlatego musi zostać dłużej w CSHL. Demerec dodał: – „Nie mamy w tej chwili dla ciebie pieniędzy, ale mamy biurko i możesz przy nim siedzieć”. Dla pewności zająłem to biurko w Carnegie Library i powiedziałem mu, że zaraz jadę na zjazd chemiczny w Filadelfii, aby poszukać posady, i jeżeli coś dostanę, to pojadę tam prosto z Filadelfii, a jeśli nie, to wrócę do CSHL. Pamiętam, że bilet kolejowy do Filadelfii kosztował 85 centów. W Filadelfii zaraz wpisałem się na listę poszukujących posad, podając wszystkie dane. Rano poszedłem na wykłady. Gdy wróciłem w południe, na tablicy były już cztery oferty dla mnie. Wybrałem jedną z nich. W Cold Spring Harbor mieli mi płacić \$3500 rocznie, a w firmie, którą wybrałem, \$7600. To była Wyeth Corporation – przemysł farmaceutyczny. Dostałem pozycję kierownika *pilot plant*, gdzie poszukiwano nowych antybiotyków.

AMK – *Streptomycyna już była...*

WS – Była już w produkcji, zrobił ją Selman Waksman w Rutgers University, jak i parę innych antybiotyków. Waksman za streptomycynę dostał Nagrodę Nobla w 1952 roku.

AMK – *Później współpracował Pan blisko z profesorem Karolem Taylorem z Gdańska...*

WS – Karol Taylor, biolog molekularny (1928–1997), pracował w późnych latach sześćdziesiątych w moim laboratorium w McArdle Laboratory for Cancer Research w Madison, Wisconsin, jako *postdoc*. Razem zrobiliśmy świetną pracę, która potem była nie tylko wielokrotnie cytowana, ale i przedrukowana po japońsku, niemiecku i francusku.

Później Karol miał znakomitych uczniów. Ale miał pecha, zabił go wirus *hepatitis*. Byłem u niego w szpitalu w Gdańsku na tydzień przed jego śmiercią. Nie mogłem opowiadać dowcipów, bo dręczyły go bóle i nie mógł się śmiać. Rodzina Taylorów jest bardzo zacna. Wyszło z niej szereg profesorów. Przyjaźnię się naukowo z Aliną, żoną Karola, która jest światowej sławy biochemikiem w Gdańsku w dziedzinie faga lambda.



► **AMK** – *Nie zdołamy porozmawiać w szczegółach o Pańskich pracach naukowych...*

WS – Szczęśliwie są spisane. Liczne zrobiłem w McArdle Laboratory for Cancer Research, University of Wisconsin–Madison Medical School.

AMK – *Z czasem Pańska pozycja rosła w znaczenie. Rozumiem, że zeznawał Pan przed amerykańskimi komisjami federalnymi na temat badań genetycznych...*

WS – Zeznawałem w Kongresie Stanów Zjednoczonych, a także w niemieckim Bundestagu – szczególnie w początkowym okresie *recombinant DNA*, gdy była nagonka, że nie wolno tego robić. Naukowcy mówili, że nie mogą powiedzieć, iż niebezpieczeństwo jest zerowe. Ja mówiłem, że niebezpieczeństwo jest mniejsze niż zero z praktycznego punktu widzenia. Teoretycznie nie ma co tu gadać, ważne jest, co jest praktycznie. Nigdy nikt z tego nie zachorował, nie umarł i nie umrze.

AMK – *Przewyciężenie takich oporów nie jest sprawą załatwioną...*

WS – Jak mawiał Jim Watson, gdy hydrze zetnie się jedną głowę, to druga odrasta. To się nigdy nie skończy. Prasa, szczególnie brukowa, będzie to ciągle popierać, bo to sensacyjne.

AMK – *Co uważa Pan za swoje opus vitae? Czy terapię genową?*

WS – Pan nie jest biologiem, prawda? To, co ja zrobiłem z terapią genową, to był drobny ułamek mego życia naukowego. Lubilem robić coś, co jest skuteczne. Jeszcze w Polsce przeczytałem pracę z 1944 roku, że DNA można transformować, że można przenosić geny z jednej bakterii do drugiej. Już wtedy pomyślałem sobie, że jeżeli zrobię to z ludzkimi genami, to będzie można naprawiać choroby genetyczne. Po iluś latach to zrobiłem, wyszło. Udowodniłem to.

Podałem pewną metodę, jak to robić poprzez wybiorną pożywkę HAT, itd. Z tego jestem – nie mogę powiedzieć, że bardzo – dumny. Było to powtórzenie dla ludzkich komórek tego, co już wcześniej zrobiono z bakteriami. Zmusiłem przez to innych, aby nad tym pracowali. Minęło parę lat, zanim zrozumieli, co ja zrobiłem.

Wiedziałem, że potrzeba wielu lat, zanim terapię genową będzie można praktycznie stosować. Postanowiłem, że nie będę na to czekał. Myślę, że dałem ludziom odwagę, że można rozwijać terapię genową.

Technicznie byłem bardzo zaawansowany. Wcześniej, przez pewien czas byłem nawet fizykiem; w Kopenhadze pracowałem nad izotopami z Györgym Hevesy na Blegdamsvej 17, u Nielsa Bohra. Miałem szczęście zetknąć się i zaprzyjaźnić z bardzo wybitnymi uczonymi, z osobistościami – jakoś łatwo było mi przejąć ich sposób myślenia, ich inicjatywę, że trzeba coś porządnego zrobić – nie byle co. Bardzo wcześnie zrozumiałem to, co zrobili Watson i Crick.

AMK – *Powiedział Pan, że przeczytał Pan pracę o DNA z 1944 roku. Czy wtedy wiedziano już o DNA? Praca Watsona i Cricka w „Nature” została opublikowana w 1953 roku – prawie dziesięć lat później.*

WS – DNA zawsze było – w Panu i we mnie... Były prace: Avery'ego, MacLeoda i McCarthy'ego z 1944 roku, a na-

wet dużo wcześniej: F. Griffitha z roku 1928, że DNA transformuje. To był dowód, że DNA jest istotą życia. Jako chemik byłem pewny, iż DNA jest istotą życia, że genetyka jest najważniejsza, że trzeba w tym kierunku pracować. Zawsze byłem bardzo odważny w moich wystąpieniach, nie tyle w pisaniu, ile w gadaniu, że wszystko jest proste i już wszystko jest rozwiązane.

AMK – *Jamesa D. Watsona zna Pan, rozumiem, dobrze. Czy Francis Crick też Pan znał?*

WS – Z Crickiem byliśmy blisko zaprzyjaźnieni. Jego żona była uroczą kobietą. Zaprzyjaźniła się bardzo z moją córką Basią, gdy byliśmy razem w Indiach. Crick był bystrzejszy od Watsona. Ale Watson potrafił „pazurami przyczepić się” do tematu i nie ustąpił, aż tego nie rozwiązał, albo nie zmusił Cricka, by to rozwiązał.

AMK – *Co fundamentalnego zrobili Watson i Crick poza odkryciem struktury DNA? Oczywiście zdają sobie sprawę, że to było wystarczająco dużo.*

WS – Crick zaproponował szereg rzeczy: *adaptor hypothesis*, całe kodowanie – to były pomysły Cricka. Watson zajmował się strukturą DNA, chciał znaleźć, jaka jest struktura DNA. W ich pierwszej publikacji w „Nature” (1953) jest zdanie mówiące, że ich model tłumaczy replikację DNA. Wydaje się, że oni nie robili tego, aby zrozumieć replikację DNA, tylko strukturę. Kto pierwszy poddał tę myśl? Może Crick? Inne sprawy same wyskoczyły. Poza tym, to wtedy przyciągało najlepsze umysły – i każdy coś dodał. Struktura DNA jest taka piękna i taka pomysłowa, że można ją podziwiać latami.

AMK – *Dlaczego tak długo trwa, aby terapia genowa stała się bezpieczniejsza? Na konferencji¹ słyszeliśmy o kilku przypadkach śmiertelnych. To ciągle nie jest opatrowane. Wydaje mi się, że brakuje jakiegoś ogniw...*

WS – W doświadczeniach, które zrobiłem, brałem komórki ludzkie i wymieniałem w nich jeden gen. Pokazałem, że można to zrobić. Nie można transformować każdej komórki w całym organizmie ludzkim, bo są ich miliardy czy więcej. Można transformować tylko kilka komórek i wszczepić je do organizmu, aby się rozrosły, zaczęły sobie pomagać.

AMK – *Taka jest chyba rola komórek macierzystych?*

WS – Właśnie, *stem cells*. Najlepszą metodą, aby kogoś wyleczyć z choroby, którą da się wyleczyć i jeszcze nie jest na to za późno, jest wyjęcie komórek i zrobienie z nich *stem line*, aby od nowa uzyskać różne organy. To jednak nie jest proste: gdy transformuje się jeden chromosom, to są jeszcze miliony innych miejsc, w których coś innego może się transformować – z tego samego DNA. Gen musi być oczyszczony i trzeba zadbać, aby ten sam gen nie wskoczył gdzieś indziej. Słyszeliśmy jednak na tej konferencji, że było parę przypadków, które się powiodły, ale to wszystko wymaga jeszcze sporo czasu.

¹ Konferencja „50 years of gene therapy: the contribution of Professor Wacław Szybalski to science and humanity”. Polska Akademia Umiejętności, Kraków 28–29.09.2012.

► **AMK** – *Wynalazł Pan pożywkę HAT, umożliwiającą wymianę genów...*

WS – Trzeba po prostu zapewnić właściwą selekcję. Pożywki HAT można używać do dwóch celów: można na niej wybiórczo stransformować komórki ludzkie, można też zrobić antyciała monoklonalne. Dwie dziedziny na tym się opierają. To jest teraz wielki przemysł.

Niemal nikt z tych badaczy, którzy używali tej pożywki, nawet nas nie zacytował. Potem pisali listy przepraszące do mojej żony, że nie wiedzieli, że nie mogli sobie przypomnieć mojego nazwiska... Cytowano mnie, gdy ktoś raz na dziesięć lat napisał przeglądowy artykuł.

AMK – *Gdy nie tak dawno zrobiono „Human Genome Project”, niektórzy przewidywali, że za kilka lat będzie można leczyć ludzi przez naprawę genów.*

WS – Wiedziałem, że jest za wcześnie na zastosowanie tego, co zrobiłem. Uważałem jednak, że to dało odwagę innym, aby posunąć się dalej. Gdy pracowałem z ludzkimi komórkami, ludzie w tej dziedzinie byli słabi. Nudno było pójść z wykładem, połowa audytorium nie rozumiała, o czym mówiłem. Mieliśmy kiedyś pewną konferencję, był na niej także mój kolega, który pracował z Arthurem Kornbergiem nad syntezą DNA. W pewnym momencie powiedział do mnie – „Wacław, co my tu robimy? Gadamy do idiotów. Ty byłeś dobry w Cold Spring Harbor, ja pracowałem z Kornbergiem – rzućmy to; wrócimy do tego może za dwadzieścia lat. Teraz jest za wcześnie”. Dlatego zająłem się czymś, co było bliższe i łatwiejsze: moim ukochanym bakteriofagiem lambda.

AMK – *Mówi się, że wiek XX był wiekiem fizyki, a wiek XXI jest i będzie dalej wiekiem biologii. Czy spodziewa się Pan jakichś ogromnych przełomów w biologii?*

WS – Nie. Może będzie jeszcze coś z samym DNA. Jest parę spraw niejasnych, np. druga czy trzecia rola DNA. Ta rola jest skomplikowana – bo to jest bardzo wiele interakcji.

AMK – *Różnorodnych białek jest ponad 200 000. To chyba są problemy po prostu typu kombinatorycznego – mówiąc językiem matematycznym.*

WS – Tak. Kombinatoryczne. Dobre słowo, brakowało mi go po polsku. Czekają nas jeszcze wiele niespodzianek, bo do tej pory nie znamy roli większości sekwencji DNA. Niewątpliwie wiek XXI będzie czasem ogromnego przełomu w medycynie. Pewnie każdy będzie miał wysekwencjonowane DNA i będą możliwe inne sztuczki. Już to się robi, ale dla rozeznania tylko.

AMK – *Chciałbym Pana zapytać o bardziej ogólną sprawę. Nieomal całe życie naukowe spędził Pan w Stanach Zjednoczonych. Nazwisko wyrobiły Panu prace zrobione w Stanach Zjednoczonych. Jaka jest tajemnica sukcesu nauki amerykańskiej? Europa ciągle w sprawach naukowych pozostaje w tyle.*

WS – Pan mnie naprawdę o to pyta? Czy Pan już zna odpowiedź?

AMK – *Powiedzmy, że się domyślam...*

WS – Odpowiedź jest prosta. Amerykanie ściągają najlepszych ludzi z całego świata. To wszędzie by wystarczyło: w każdym kraju, w każdym przemyśle, w każdym zawodzie. Jeżeli zebraliby się najlepszych malarzy z całego świata... Ludzie są zachęcani swobodą, pieniędzmi.



fot. Andrzej Kobos

Ja przyjechałem do Stanów Zjednoczonych dla bezpieczeństwa. Mogłem być zostawiony w Kopenhadze na całe życie. Ale Dania to mały kraj i za blisko Sowietów. Dalej się bałem.

To jest jedna odpowiedź. A druga jest taka, że w nauce amerykańskiej jest bardzo wielu Żydów. Oni są ogromnie zdolni i prężni, są naprawdę bardzo dobrzy. Szereg moich najbliższych przyjaciół jest pochodzenia żydowskiego.

AMK – *Czy stworzył Pan swoją szkołę? Czy ma Pan kontynuatorów swoich badań?*

WS – Nie. W Ameryce tego na ogół nie ma. Niektórzy mają ten dar, ale zwykle nie ma czyjejś szkoły naukowej. Nie ma tak, że gdy profesor odchodzi, to jego uczniowie przejmują badania. Wszystko się wymazuje, zwykle pracuje ktoś inny i nad czymś innym. Przychodzi nowa krew, często w innej dziedzinie. Tradycja jest nieznana.

AMK – *Zrobił Pan tyle i robi nadal, że zapewne czuje się Pan spełnionym człowiekiem.*

WS – Czy czuję się spełniony? Sporo zrobiłem w życiu. Naturalnie, dużo rzeczy źle zrobiłem, teraz wiem, że powinienem był podejść do nich inaczej. Specjalizuję się w szukaniu błędów, nie tylko w cudzych książkach, ale i w moim życiu.

AMK – *Panie Profesorze, serdecznie Panu dziękuję za naszą bardzo interesującą i otwartą rozmowę.*

Rozwój zrównoważony

– szlachetna idea i bezradność świata

W grudniu 1983 roku sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych Javier Perez de Cuellar powierzył Gro Harlem Brundtland, byłej premier Norwegii, kierowanie World Commission on Environment and Development (WCED), znaną następnie jako Gro Brundtland Commission. W pracach Komisji brali udział przedstawiciele 21 krajów, zarówno bogatych (Stany Zjednoczone, Kanada, Niemcy, Japonia), jak i biednych (Zimbabwe, Wybrzeże Kości Słoniowej, Gambia, Kolumbia, Indie). Działalność Komisji zakończył opublikowany przez Oxford University Press w październiku 1987 roku raport, zatytułowany *Our Common Future*. W kwietniu 1988 roku kontynuację prac Komisji podjęła organizacja Centre for Our Future.

Opublikowany raport, będący efektem 900 dni pracy Komisji, poddany był opiniowaniu przez rządy wybranych krajów, naukowców i ekspertów, instytuty badawcze, uczelnie wyższe, przedstawiciele dużych koncernów przemysłowych oraz reprezentantów organizacji pozarządowych.

Podstawowe zadania, jakie postawiono przed Komisją, dotyczyły krytycznej oceny tempa rozwoju ekonomicznego społeczeństw oraz stanu środowiska naturalnego, ze wskazaniem realistycznych działań na rzecz naprawy historycznych błędów oraz niekontrolowanych lub przypadkowych działań. Zadaniem Komisji było także wzmocnienie międzynarodowej współpracy w dziedzinie ochrony środowiska naturalnego oraz istotne poszerzenie zakresu działań w ograniczeniu chaotycznego rozwoju ekonomicznego kosztem wzrastających zagrożeń i dewastacji środowiska. Uznano, że te działania winny być wspólnie koordynowane przez wszystkie kraje świata, głównie poprzez zachętę do wspólnego obywatelskiego działania.

Komisja zdefiniowała dwa ważne pojęcia, obecnie często nadużywane i błędnie rozumiane: środowiska naturalnego i rozwoju. Warto przytoczyć oryginalne brzmienie definicji tych pojęć:

the environment is where we live; and development is what we do in attempting to improve our lot within that abode. The two are inseparable.

Efektom prac Komisji było wprowadzenie powszechnie dziś używanego pojęcia rozwoju zrównoważonego (oryg. *sustainable development*).

Niestety, obserwując, w jakim kontekście pojęcie to jest wykorzystywane, odnosi się wrażenie, że jest ono nie tylko źle rozumiane, ale pokrywa w znacznym stopniu ogólną niewiedzę. Jest ponadto nadużywane, głównie przez ekologów, w celach niemerytorycznych. Na wielu uczelniach tworzone są Katedry Zrównoważonego Rozwoju, których programy badawcze i dydaktyczne są niejasno precyzowane.

Komisja Gro Brundtland podała definicję zrównoważonego rozwoju w następującej postaci:

Sustainable development is development that meets the needs of the present without compromising the ability of future generation to meet their own needs.

It contains two key concepts:

- the concept of "needs", in particular the needs of the world's poor, to which overriding priority should be given;
- the idea of limitation imposed by the state of technology and social organizations on the environment's ability to meet present and future needs.

Polskie tłumaczenie, powszechnie stosowane w mediach, publikacjach naukowych, na seminariach i konferencjach:

Rozwój zrównoważony to taki rozwój, który zaspokaja potrzeby obecnego pokolenia, bez **pozbawienia** możliwości przyszłych pokoleń zaspokajania ich potrzeb

nie oddaje ducha oryginalnego tekstu i w istotny sposób go zubaża. Przykładowo, nie można tłumaczyć *compromising the ability* jako „pozbawienie możliwości”.

Nie mam ambicji wprowadzania nowej definicji zrównoważonego rozwoju, ale wydaje się konieczne jej uściślenie, które w polskim tłumaczeniu brzmiałoby:

Rozwój zrównoważony to taki rozwój, który umożliwia stabilny i sprawiedliwy rozwój cywilizacyjny obecnego i przyszłych pokoleń wszystkich mieszkańców Ziemi, ze szczególnym uwzględnieniem najuboższych, i takiego stanu środowiska naturalnego, który pozostaje w zgodności z tak rozumianym pojęciem rozwoju.

Raport Komisji – jak wyraźnie wskazują jego autorzy – opierał się na trzech zasadach:

1. konieczność ograniczonego tempa wzrostu ekonomicznego wynikająca z niebezpieczeństwa niekontrolowanego wykorzystywania ograniczonych bogactw naturalnych, głównie surowców energetycznych, bez zwracania uwagi na szkodliwe oddziaływanie i postępującą degradację środowiska;
2. intensyfikacja działań na rzecz rozwoju technologii służących racjonalizacji zużycia źródeł energii oraz uzasadnione ekonomicznie wykorzystywanie odnawialnych źródeł energii;
3. nieuniknione wyrównywanie poziomu życia wszystkich mieszkańców Ziemi (Komisja zwróciła uwagę na pogłębiające się nierówności pomiędzy bogatymi i biednymi).

Raport wskazywał, że obecnie około 80% bogactw naturalnych jest konsumowane przez około 20% populacji, a 1% najbogatszych posiada ponad 40% zasobów świata, w przeciwieństwie do 50% posiadających zaledwie 1%. Komisja wskazała również na konieczność podjęcia szybkich działań na rzecz ludzi, którzy żyją za mniej niż 1 dolara dziennie.

Co zmieniło się na świecie od początku działania Komisji Gro Brundtland, czyli przez 30 lat (smutna rocznica)?

Nienawiść, agresja, wojny, głód, terroryzm są dowodami, że szlachetne cele Komisji Gro Brundtland pozostają wciąż marzeniami miliardów ludzi o lepszym świecie.

Trudne powroty

MAGDALENA BAJER

Utrata dóbr kultury – zabytkowych i współczesnych dzieł sztuki, rzemiosła artystycznego, narodowych pamiątek, państwowych i prywatnych bibliotek, archiwaliów – jest doświadczeniem Polaków od paru stuleci. Nie stanowimy wszakże wyjątku; do dzisiaj trwają niezaspokojone żądania zwrotu Grekom znajdujących się w British Museum marmurów z Partenonu¹. Powszechnie wiadome są grabieże dzieł sztuki w podbitej przez Napoleona Europie, które to dzieła stanowią o randze Luwru pośród światowych muzeów.

Restytucja utraconych w różnych okolicznościach dóbr kultury jest ciągle trudnym problemem stosunków międzynarodowych, przedmiotem sporów prawnych i źródłem antagonizmów. Działania restytucyjne stosunkowo rzadko kończą się powodzeniem, tj. powrotem rzeczy utraconych do właścicieli. Praktyka w tym zakresie zdaje się bliska opinii Grocjusza, uważanego za ojca prawa narodów, który w 1635 roku głosił: „Nie jest sprzeczne z naturą ograbić tego, kogo wolno zabić – pisał Cycero. Nic przeto dziwnego, jeśli prawo narodów pozwala niszczyć i grabić rzeczy należące do nieprzyjaciół, których przecież pozwoliło zabić”.

Po każdym powstaniu narodowym zaborcy, mniej lub bardziej planowo, grabili zajęte obszary Polski. Wedle świadectwa J.U. Niemcewicza po powstaniu listopadowym Rosjanie wywieźli ok. 700 tysięcy woluminów – książek, rękopisów, dokumentów – celowo pozbawiając polskich uczonych źródeł do pracy badawczej. Poza biblioteką Towarzystwa Przyjaciół Nauk i zbiorami Uniwersytetu Warszawskiego, łupem padły księgozbiory prywatne – Radziwiłłów, Sapiehów, Sołtanów, Czartoryskich, Paców i innych rodzin magnackich. Sytuacja powtórzyła się po roku 1863, kiedy wojska rosyjskie grabiły dwory uczestników powstania lub właścicieli podejrzanych o sprzyjanie mu. Ponadto dokonywano konfiskaty majątków wraz z wyposażeniem dworów i rezydencji. Następstwem była drastyczna rusyfikacja życia kulturalnego w Królestwie. Nie inaczej postępowali pozostali zaborcy. Władze austriackie planowały wywiezienie z katedry wawelskiej sarkofagów królewskich i rzeźb, co nie doszło do skutku z powodu przewlekłych procedur urzędniczych.

Nie korzystano z Grocjuszowego przyzwolenia na niszczenie dzieł zagrabionych nieprzyjaciołom, co, zdaniem specjalistów, uratowało wiele poloników, ale przysporzyło pracy tym, którzy dzisiaj starają się je odzyskać.

Podczas drugiej wojny światowej i po niej, wskutek zmiany granic, Polska utraciła ogromną część dóbr kultury. Wywozili je Niemcy, a później Niemcom zabierały odpowiednie agendy zwycięskiego ZSRR, traktując jak łupy wojenne i przewożąc do swego kraju. Losy wielu dzieł sztuki w radzieckiej strefie okupacyjnej Niemiec mogą być materiałem do kryminalnych powieści albo filmów. Tropem Armii Czerwonej szły „trofejne brygady”, złożone ze specjalistów – historyków sztuki, znawców malarstwa, rzeźby, dawnej broni, numizmatyków, archiwistów, gromadząc wartościowe przedmioty, by je następnie wojskowymi pociągami wywozić do Moskwy, gdzie odbiorcą był Komitet ds. Sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR. Z długiej listy wymienię: 444 skrzynie ze zbiorami z Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu, 87 skrzyń archiwaliów i 93 skrzynie kosztowności z różnych rezydencji w okolicach Poznania, wysłane w dwudziestu dwóch wagonach z Międzyrzecza w marcu 1945 roku.

Wcześniej, w lutym, PKWN powołał Wydział Rewindykacji i Odszkodowań w Ministerstwie Kultury i Sztuki, przekształcony niebawem w Biuro Rewindykacji Odszkodowań, które przystąpiło do poszukiwania utraconych dóbr kultury, sporządzając ich listy, opracowując informacje na temat losów. Działania dotyczyły również obiektów znajdujących się na terenach Ukrainy, Białorusi i Litwy, wówczas republik sowieckich.

Osobną, dramatyczną historię stanowią zabiegi o odzyskanie większej części zbiorów Ossolineum pozostałych we Lwowie, przede wszystkim kompletnego zbioru prasy polskiej, zakończone kompromisowym rozwiązaniem, które je chroni od zniszczenia i zabezpiecza dostęp badaczom.

Aż do upadku ZSRR odzyskiwanie polskich dóbr kultury odbywało się głównie w trybie składania ich nam przez sowieckie władze w darze z rozmaitych państwowych okazji (polskimi dziełami sztuki obdarzano także inne państwa wedle ich zasług dla komunizmu), przy czym wybór obiektów był całkowicie arbitralny – mimo podpisywanych umów i deklaracji o dobrej współpracy także na tym polu. Starania polskie nie ustawały, przynosząc kolejne, wciąż niezadowolające, rezultaty. W roku 1951 wróciło 55 obrazów z Wilanowa, oprawionych w ramy, rok później „archiwum kopernikańskie”, rękopisy Kromera i Krasickiego. *Sąd Ostateczny* Hansa Memlinga zwrócił nam ZSRR w roku 1956 – wcześniej utrzymywał, jakoby

¹ Formalnie marmury z Partenonu zostały zakupione przez rząd brytyjski w 1816 roku, chociaż sporna pozostaje legalność tej transakcji (Red.).

► obraz znajdował się w Wielkiej Brytanii. Inny ważny powrót nastąpił w roku 1997 – obraz pędzla Pompeo Batonego *Apollo i dwie muzy* z pierwszej połowy XVIII wieku znalazł się w Galerii Wilanowskiej, wymieniony za XVIII-wieczną akwarelę *Widok Mon Repos*, pochodzącą z pałacu w Gątczynie, a odnalezioną po wojnie we wrocławskim Muzeum Narodowym.

W roku 1992 pojawiła się strona internetowa Ministerstwa Kultury Federacji Rosyjskiej poświęcona wojennym stratom dóbr kultury oraz ich powojennej restytucji – z listą obiektów przemieszczonych na tereny Rosji. Nadzieje związane z tym faktem nie trwały długo, choć polskim specjalistom udało się zidentyfikować sporo dzieł. Stronę tę po dwu latach zmieniono tak, że przedmioty przemieszczone, zgłaszane przez instytucje rosyjskie, w których się znajdują, zniknęły z sieci. Zdążyliśmy się dowiedzieć, że najwięcej polskich dzieł jest w moskiewskim Muzeum im. Puszkina, czego zresztą strona polska się spodziewała.

Ustawą z 25 marca 2011 roku Sejm RP powołał do życia Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia (CPRDiP). Na konferencji poświęconej restytucji polskich dóbr kultury z ZSRR i Rosji, zorganizowanej w maju – wspólnie przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (MKiDN), z udziałem ministra Bogdana Zdrojewskiego, Centrum, z udziałem dyrektora, dra Sławomira Dębskiego, oraz redakcję magazynu „Mówią Wieki”, który poświęcił tym sprawom majowy numer specjalny 2/2013 (dofinansowany przez CPRDiP) – zaprezentowano w sali Muzeum Narodowego 7 obiektów, będących przedmiotem aktualnych wniosków restytucyjnych strony polskiej. O wartości każdego, jego znaczeniu dla polskiej kultury i powikłanych losach mówiła Elżbieta Rogowska, naczelnik Wydziału Strat Wojennych w Departamencie Dziedzictwa Kulturalnego MKiDN.

Staramy się odzyskać szczególnie cenne dzieła: obraz *Madonna z Dzieciątkiem* Lucasa Cranacha Starszego, z roku 1518, stanowiący przez 500 lat własność kolegiaty w Głogowie, w 1945 roku przejęty przez przedstawiciela Armii Czerwonej, drugi, równie cenny, niderlandzkiego malarza, zwanego Mistrzem – *Madonna z Dzieciątkiem i papugą na tle krajobrazu* z pierwszej połowy XVI wieku, wywieziony przez Niemców z muzeum w okupowanej Łodzi, następnie przejęty przez Armię Czerwoną w Saksonii. Wniosek restytucyjny złożono także w sprawie dwu skrzydeł XVI-wiecznego ołtarza z kościoła św. Elżbiety we Wrocławiu, przypisywanych Hansowi Dürerowi. Przed wojną znajdowały się we wrocławskim Śląskim Muzeum Rzemiosła Artystycznego i Starożytności, dzisiaj są w Państwowym Muzeum Sztuk Pięknych im. Radziścza w Saratowie.

*

Odzyskiwanie dóbr kultury jest jedną ze „spraw trudnych” w stosunkach polsko-rosyjskich. Powołana do ich badania i rozwiązywania grupa, pod kierunkiem Adama D. Rotfelda i Anatolija W. Torkunowa, poświęca немало uwagi zwłaszcza kwestii archiwów, o których prawo międzynarodowe jednoznacznie stanowi, że należą do tego, na czym terytorium powstały, zatem restytucja zbiorów przemieszczonych jest w tym przypadku bardzo skomplikowana. Dialog społeczny, nawiązany przez polskie Centrum i jego rosyjski odpowiednik, jest tu równie potrzebny jak negocjacje elit.

MAGDALENA BAJER

Sprostowanie

Dotyczy tekstu p. prof. Jana Konopackiego *Ile etatów dla profesora – skrywane sekrety* („PAUza Akademicka”, nr 216). To, co tu piszę, to nie jest polemika z Autorem. Polemika z polemiką nie ma sensu. Prostuę więc: 1. Z wieloma тезami jego wcześniejszego artykułu (PAUza nr 211) zgadzałem się (na pewno dotyczy to zarobków). 2. Autor zalicza mnie osób kontestujących najlepsze nawet pomysły i twierdzi, że nie wierzę w pomysłowość zmian. I że z powodu takich, jak ja, reformy idą tak wolno. I uważa, że skrywam jakieś sekrety. Prostuę: neguję nadgorliwość w reformowaniu, hurrareformowanie, panreformowanie, zbiurokratyzowanie, scentralizowanie, przerost formy nad treścią. Czy to jest ukrywanie? 3. Nie pisałem mojego tekstu z perspektywy szkół prywatnych (niektóre z nich stoją na bardzo wysokim poziomie), tylko z perspektywy PWSZ-ów. 4. Jedni patrzą na świat z perspektywy *bonum commune*, inni – *malum commune*. To kwestia poglądów i przekonań.

LUCJAN SUCHANEK



Adam Korpak
Tajemnice przyrody
[w noc świętojańską]

zaPAU

Bronię biurokratów

Uczeni to, niemal z definicji, zawodowi malkontenci, a w każdym razie krytycy zastanej rzeczywistości. Należy to, jak sądzę, do podstawowych atrybutów tej profesji. Przecież pierwszym krokiem do zrobienia odkrycia naukowego jest niezgoda na obowiązujący paradygmat.

Stąd nie spotkałem jeszcze uczonego, zasługującego na ten tytuł, który byłby zadowolony z sytuacji w nauce, jej organizacji, systemu ocen, poziomu wreszcie. Jest to, powtórzę, naturalne i nic w tym dziwnego. Zwłaszcza że doprawdy nietrudno znaleźć powody do niezadowolenia. Żale polityków, że ich wysiłek poświęcony stworzeniu nauce jak najlepszych warunków rozwoju nie jest właściwie doceniony, wręcz przeciwnie, z reguły niemal automatycznie krytykowany, są więc świadectwem albo niezrozumienia roli nauki, albo dziecinnej naiwności. Wiem, że to przykre – wiem, że trudno wytrzymać ostrzał zarzutów, czasem niesprawiedliwych. W dodatku na ogół wysuwanych przez ludzi inteligentnych, którzy wiedzą, jak i gdzie uderzyć, żeby bolało. Nie ma jednak co żałować polityków, mają, co sami chcieli. W końcu – jak zauważył kiedyś Andrzej Mleczek – polityka to nie jest zajęcie dla ludzi o słabych nerwach.

W fali krytyki przesuwającej się znowu przez media, zauważyłem jednak pewien rys, który ma wszystkie cechy *déjà vu*. Najcięższym zarzutem, jaki krytycy stawiają nowym regulacjom, jest oddanie decyzji w sprawach nauki w ręce „urzędników”. Złowieszcze słowo urzędnik (synonim „biurokraty”) staje się synonimem wszelkiego zła i wszystkich nieszczyść, jakie spadają na polską naukę. Do złudzenia przypomina to sytuację w czasach demokracji ludowej, gdzie w mediach wolno było krytykować tylko biurokratów i kelnerów. Tyle że wtedy było to wymuszone cenzurą, a dzisiaj? Dzisiaj jest skutkiem uproszczeń, populizmu i zastąpienia pogłębionej oceny stereotypem.

Tymczasem trudno zaprzeczyć, że nowe regulacje oddały wiele decyzji dotyczących nauki w ręce samych uczonych. Widać to bardzo dobrze na przykładzie Naro-

dowego Centrum Nauki. O polityce naukowej NCN-u decyduje Rada, złożona z uczonych. Szefem jest człowiek, który kilka lat temu otrzymał Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Granty są oceniane przez zespoły powołane spośród uczonych, podobnie z recenzentami. Nawet „biurokraci”, organizujący przyjmowanie i procedowanie wniosków, posiadają doktoraty, a więc przynajmniej mieli bezpośredni kontakt z badaniami naukowymi. Czego można jeszcze chcieć?

To prawda, że wszyscy ci ludzie występują w podwójnej roli, uczonych i urzędników. I tylko od ich indywidualnej decyzji (charakteru?) zależy, którą z tych ról zagrają lepiej. Ale jak można tego uniknąć? Tylko wykluczając całkowicie konkursową ścieżkę finansowania badań, a tego chyba nawet największy krytycy nie postulują.

Myślę więc, że rację ma Dyrektor NCN-u, głosząc, gdzie tylko może, że słabym punktem systemu, zagrażającym jego przyszłości, jest ZBYT MAŁA liczba urzędników przyjmujących i pilotujących wnioski oraz wspomagających administracyjnie gremia merytoryczne, podejmujące decyzje. Nie ma rady: pewne rzeczy muszą być zrobione, a dzień pracy nie jest z gumy, ludzie nie mogą pracować bez wytchnienia. Jeżeli więc chcemy, aby instytucja dobrze działała, nie wolno przesadnie oszczędzać na obsłudze administracyjnej. Informacja o tym, że NCN jest „najwydajniej” pracującą agencją na świecie (biorąc pod uwagę liczbę wniosków do opracowania przypadającą na jednego pracownika), po prostu mnie przeraziła. Jest przecież jasne, że w ten sposób można ewentualnie zmobilizować ludzi na jakiś czas, wykorzystując entuzjazm i pionierski charakter przedsięwzięcia, ale na dłuższą metę tak się nie da. W rezultacie idziemy prostą drogą, aby powtórzyć upadek KBN-u, który też – o ile pamiętam – początkowo dobrze działał.

Mam nadzieję, że zrozumienie tej zależności nie przekracza możliwości intelektualnych osób planujących budżet.

ABBA

PAUza idzie na wakacje

„PAUza Akademicka” 217 jest ostatnim numerem przed wakacjami 2013. Następne wydanie „PAUzy Akademickiej” ukaże się na początku września 2013. Życzymy Czytelnikom miłego i dobrego lata.

Redakcja

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.



Wydarzenia



Konferencja naukowa w 600-lecie unii horodelskiej

HORODŁO (1413–2013)

Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie w dobie horodelskiej

Kraków i Niepołomice, 20–21 września 2013



Porozumienie horodelskie z 2 października 1413 roku ma w dziejach stosunków polsko-litewskich i w historii samej Polski wagę równą umowie krewskiej (1385) i unii lubelskiej (1569). Gdy ta pierwsza oznaczała narodziny unii, druga zaś – koniec stawiania się unii polsko-litewskiej, to postanowienia horodelskie dawały prawną i społeczną bazę do jej budowy. Zjazd w Horodle i jego postanowienia to jedna ze świetniejszych chwil w historii Polski.

2 października 1413 roku na zjeździe Władysława Jagiełły, Witolda Kiejstutowicza, panów polskich i bojarów litewskich w Horodle wystawiono akta, które do historii przeszły pod nazwą unii horodelskiej. Głęboki przełom w losach narodów Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego z pewnością zapoczątkowały wydarzenia lat 1384–1387, ale to unia w Horodle proponowała takie ułożenie relacji między dwoma monarchiami i ich narodami politycznymi, które dawało szansę na trwałość budowanej federacji. Postanowienia przyjęte w porozumieniu określały wyraźnie odrębność Litwy, która miała być rządzona przez wielkiego księcia, podczas gdy królowi Polski przysługiwał tytuł najwyższego księcia Litwy. Unia miała trwać nawet w przypadku wygaśnięcia dynastii jagiellońskiej, wtedy bowiem król Polski a najwyższy książę Litwy powinien być wybrany przez panów polskich za wspólną zgodą wielkiego księcia i panów litewskich. Ważnym postanowieniem horodelskim było zrównanie w prawach ze szlachtą polską tych bojarów litewskich, którzy przyjęli wiarę katolicką, a symbolem owego zrównania w prawach i zbratania narodu politycznego obydwu krajów było przyjęcie do własnych herbów 47 rodzin bojarów litewskich przez tyleż znaczących rodów szlacheckich Polski. W razie potrzeby możni obydwu krajów winni byli się naradzać nad wspólnymi sprawami na zjazdach w Lublinie i Parczewie.

Granica między obydwoma krajami miała odtąd już nie dzielić, ale łączyć społeczeństwa, zainteresowane jednością stawianych sobie celów. Panowanie Władysława Jagiełły wyznacza czas i miejsce spotkania kultury chrześcijańskiego, łacińskiego Zachodu z wielowarstwową sukcesją Wschodu, sięgającą do tradycji Bizancjum. Wydarzenia tego panowania i sojuszu z Litwą stanowią o randze Polski w ówczesnym świecie i ukazują szersze, europejskie widnokręgi przeszłości.

Konferencja współfinansowana przez

Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego>>>KRK>2B
Kraków to businesspau.krakow.pl/index.php/Unia-horodelska.html

**KONFERENCJA MŁODA POLSKA EMIGRACJA
W UE jako przedmiot badań psychologicznych,
socjologicznych i kulturowych**

dwujęzyczność i dwukulturowość // szok kulturowy wyjazdowy i powrotny // migracje jako czynnik modernizacji // migracje a nowe style życia // transgraniczność // tożsamość polskich migrantów

Obrady toczyć się będą w trzech blokach: psychologicznym // socjologiczno-antropologicznym // kulturowym

Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2013 roku”

**23-24 WRZEŚNIA 2013
KRAKÓW
POLSKA AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI
UL. SŁAWKOWSKA 17**

Serdecznie zapraszamy do udziału w naukowej konferencji **“Młoda polska emigracja w UE jako przedmiot badań psychologicznych, socjologicznych i kulturowych”**. Konferencja jest częścią programu **„EUROEMIGRACJI.PL”**, realizowanego przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie oraz Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie.

Zapraszamy badaczy krajowych oraz związanych z zagranicznymi instytucjami naukowymi. Obrady toczyć się będą w trzech blokach:

Psychologicznym

- zagadnienia dwujęzyczności i dwukulturowości
- sytuacja Dzieci Trzeciej Kultury
- szok kulturowy wyjazdowy i powrotny
- kryzys migracyjny i jego fazy
- przeobrażenia tożsamości

Socjologiczno-antropologicznym

- rola migracji jako czynnika modernizacji
- zmiany społecznego usytuowania migranta
- kryzys/przekształcenia więzi społecznych
- wpływ migracji na pojawienie się nowych stylów i form życia

Kulturowym

- zjawiska transgraniczności powstające na styku kultur migrantów, społeczności przyjmującej i innych grup imigracyjnych
- kierunki rekonstrukcji tożsamości polskich migrantów
- przekształcenia stereotypów, stygmatów i etykiet konstruowanych wśród migrantów, społeczności przyjmującej i pochodzenia
- stan i drogi rozwoju twórczości polskich artystów-migrantów

KONTAKT: konferencja@euroemigranci.pl
INFORMACJE: www.euroemigranci.pl



Kraków – warto wiedzieć

Ja, Matejko

„Nazywam się Matejko, Jan Matejko. Wiem, że Państwo wiedzą, kim jestem. Jednak nie wiedzą wszystkiego. Ja, Matejko, to nie tylko autor wielkich płócien” – zdaje się mówić nam Mistrz.

– Tak jak Matejko jest postacią szczególną w historii sztuki polskiej, tak, mam nadzieję, Rok Jana Matejki będzie wydarzeniem wyjątkowym w naszym Muzeum – stwierdziła 17 kwietnia br. Olga Jaros w Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach. – Niestety, nie udało się doprowadzić do ogłoszenia przez Sejm RP roku 2013 Rokiem Jana Matejki. Uznaliśmy jednak, iż Matejko jest postacią wyjątkową, a Muzeum Narodowe w Krakowie jest szczególnie predysponowane, by uczcić rocznice: 175. urodzin i 120. śmierci Artysty. Organizujemy zatem na naszym krakowskim gruncie Rok Jana Matejki.

Muzeum posiada bogatą spuściznę po artyście, a od ponad stu lat opiekuje się domem Jana Matejki, który w 1904 został wcielony do Muzeum Narodowego jako jego oddział. Jan Matejko jest nierozdzielnie związany z naszym myśleniem o Ojczyźnie. Mam nadzieję – mówiła Olga Jaros – że program, jaki przygotowaliśmy, pozwoli, szczególnie młodszej publiczności, pomyśleć o Janie Matejce nie tylko jako o postaci pomnikowej. Przygotowano dla niej bogaty program edukacyjny.

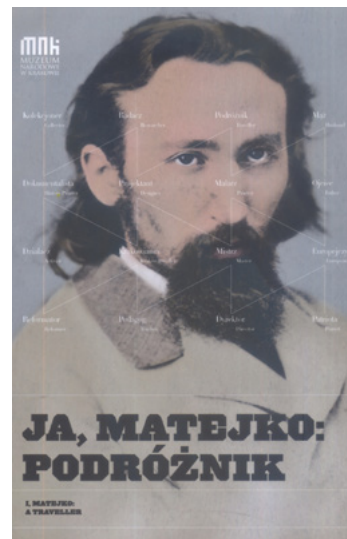
Inauguracji Roku Jana Matejki w galerii Sukiennice towarzyszyło otwarcie tego samego dnia wystawy w Domu Jana Matejki, zatytułowanej *Zbiory kolekcjonerskie Jana Matejki*. Pokazano na niej m.in.: żupan Daniłowicza – wuja Jana III Sobieskiego i kapelusz z czasów napoleońskich, ukazany w obrazie Matejki *Kościuszkę pod Racławicami* (1888) jako nakrycie głowy generała Józefa Zajączka. Wyjątkową atrakcją dla publiczności jest korona grobowa – według tradycji należąca do króla Zygmunta I Starego, którą Jan Matejko otrzymał do swoich zbiorów kolekcjonerskich od anonimowego ofiarodawcy.

Są też stałe elementy ekspozycji, pokazujące warsztat artysty i pokoje mieszkalne. – Zapamiętujemy Jana Matejkę jako autora wielkich płócien historycznych. Zapominamy, że był pedagogiem i dyrektorem Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, że był kolekcjonerem, badaczem przeszłości, że prowadził życie towarzyskie, że miał rodzinę, że podróżował... I tak moglibyśmy długo wymieniać – mówiła Marta Kłak-Ambrożkiewicz, kurator wystawy w Domu Jana Matejki.

Marta Kłak-Ambrożkiewicz przypomina, iż Jan Matejko, pełniąc funkcję dyrektora krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, był jednym z pomysłodawców powołania do życia Muzeum Narodowego w Krakowie. Jako przewodniczący Wydziału, który zarządzał nowo powstałą placówką, zgodnie ze swoimi zainteresowaniami i kwalifikacjami nadawał kierunek działalności muzeum. Zajmowano się przede wszystkim gromadzeniem zbiorów i ich ekspozycją, organizacją działów muzealnych oraz konserwacją zabytków.

Opierając się na dokumentach źródłowych, Marta Kłak-Ambrożkiewicz uważa, iż pasja kolekcjonerska, której w wieku XIX oddawało się wielu wybitnych artystów,

w przypadku Matejki była ściśle związana z misją patriotyczną. Artysta bywał w świecie i jak nikt inny rozumiał potrzebę tworzenia zbiorów muzealnych, zwłaszcza wobec ich braku na rodzimym gruncie. Malarz cieszył się zaufaniem publicznym, toteż jako kolekcjoner często otrzymywał zabytkowe przedmioty od różnych, nawet anonimowych ofiarodawców.



Przed tygodniem urządzono w Sukiennicach *Imieniny mistrza Jana*. Gospodarzem uroczystości była Zofia Gołubiew, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. Otwarto wystawę *Wszystkie podróże Jana Matejki*. – Matejko, o czym niewiele z nas wie, sporo podróżował – opowiadał Wojciech Nowicki. – Nie tylko do Wiednia i Paryża, ale także na wakacyjne wypady do Iwonicza, Szczawnicy czy Zakopanego. Odwiedził Włochy, był również w Konstancynie, skąd przywiózł sporo zdjęć. Nic więc dziwnego, że wystawa została zatytułowana *Wszystkie podróże Jana Matejki*. Podróże ilustrowane dziewiętnastowiecznymi zdjęciami miejsc, w których Mistrz bywał. Do Zakopanego i Ojcowa jeździł z rodziną na wypoczynek. Ale już Gdańsk odwiedził przy okazji wyjazdu na pola grunwaldzkie, a zdjęcia z Fromborka ilustrują zainteresowanie Matejki tym miastem, szczególnie katedrą, którą uwiecznił na obrazie *Kopernik*.

To było w Sukiennicach, a potem w Domu Matejki przedstawiono kolejny wykład z cyklu *Czwartki u Matejków*. W następne dni tygodnia w Domu Jana Matejki także miały miejsce okolicznościowe spotkania. Imieniny artysty zakończył uroczysty koncert, który odbył się w ubiegły poniedziałek w Bazylice Mariackiej. *W hołdzie Janowi Matejce – muzyczna recepcja malarskiej twórczości Artysty*. Ale tajemnice życia Matejki zgłębiać będziemy jeszcze co najmniej do końca roku.

MARIAN NOWY